

# ***KTOŚ***

(nowelka)

Ja, trzpiotka, Katarzyna Albiczówna, nie miałam ochoty opuszczać Lwowa. Uciech tam sporo, a i bezpiecznie. Święta Wielkanocne spędzamy jednak z reguły familijnie, w Wiślicy. Ale tak czy siak, trzeba było wracać do domu.

W drodze powrotnej widziałam biednych chłopów, którzy po pas brnęli w śniegowych zaspach, i konie, które ciągnęły sanie, a same iść już me mogły. Oj, tegoroczna zima nie oszczędziła nas! Tu i ówdzie wicher usypał białe ruchome wydmy. Okryte puchową pierzynką drzewa, mieniły się w świetle zachodzącego słońca. Mróz siarczysty dawał w kość. Podróżni kulili się w swoich paltach i opończach. Postacie ich, ciche i smętne, wtapiały się jakoś dziwnie w ten krajobraz. Dopełniały go, ograbione i popalone w niedawnym rokoszu Zebrzydowskiego, wyłaniające się zza horyzontu - dworki szlacheckie.

Zmęczenie dotkliwie dawało mi się we znaki, nie zaćmiło jednak umysłu. I nagle w jadącym z naprzeciwka osobniku rozpoznałam...

— Cóż kochany stryjek tutaj porabia?! — krzyknęłam zaskoczona — Wszak rzadko gościsz w tych stronach!

A on, wcześniej jakby zadumany, pochylił się nade mną i po chwili ciszy rzekł smutno:

— Waćpanna nie wiesz, że Jan Czeski od miesiąca nieżyw? Właśnie wracam z Budziszowic, od Zofii. Potrzebowała wsparcia w ostatnich dniach...

Wieść ta spadła na mnie jak grom z jasnego nieba. Skinęłam na pacholka i ruszyliśmy dalej. Znikło dotychczasowe rozweselenie, dopadła mnie melancholia.

W pół godziny potem moim oczom ukazała się zmarznięta Nida i urokliwe domostwo Maciejowskich, które przypominało mi arkadyjską przeszłość. Przyjeżdżałam tu latem, będąc dzieckiem. Biegałyśmy z Zosią beztrosko po łące, wijąc wianki i wesoło gwarząc. A dziś? – życie tak boli.

Z zamyślenia wyrwało mnie parskanie koni. Dostrzegłam w dali czarną sylwetkę młodej wdowy, która szła wolno okalającą dworek ścieżką. Zsiadłam prędko z sań i biegiem puściłam się w jej kierunku. Ubrana w skromną, żałobną suknie, sprawiała wrażenie starszej. Dotknęłam jej ramienia, przyłączając się do spacerującej, a ona z błyskiem w oku uśmiechnęła się łagodnie.

— Nigdy jej nie zrozumie — pomyślałam.

Tak. Kuzynka zawsze stanowiła dla mnie zagadkę: pomocna, serdeczna, a przy tym taka radosna i cicha, ze wszystkim umiała się pogodzić. Teraz właśnie ta cecha jej charakteru ujawniła się w całej okazałości.

— Co cię, Kasiu, do nas sprowadza? — zapytała.

— Wracałam w rodzinne strony, kiedy natknęłam się po drodze na stryja Teofila. Mówił mi coś o nieszczęściu ... Dlaczego nie przesłałaś mi żadnej wiadomości? - powiedziałam z wyrzutem - przyjaźniłyśmy się przecież!

— Głupiotka - w dalszym ciągu potrzebujemy siebie nawzajem. Nie chciałam cię niepokoić. Dobrze się bawiłaś na kresach, nieprawdaż? A zresztą, to nie jest tak, jak wielu się wydaje — drżącym głosem odrzekła Zofia, po czym obróciła głowę i utkwiała wzrok w dali.

Zapadła chwila głębokiego milczenia - świadectwo marności słowa. Na jedno się tylko zdobyłam:

— Nie musimy rozmawiać, jeśli cię to rani.

Dziedziczka Czech zatrzymała się i chwyciła mnie za rękę, jak ongiś czyniła to w panińskich zwierzeniach.

— Teraz nie chodzi już o śmierć Jana. Kochałam go przez te lata spędzone razem, choć w sercu miałam niedosyt. Dziś jestem wolna i mogę tę pustkę wypełnić.

— Co chcesz przez to powiedzieć? W jaki sposób?! — paliła mnie ciekawość.

Szczerze mówiąc, spodziewałam się, że Zosia powtórnie wyjdzie za mąż. Urodziwa i majątna - niejednen kandydat ubiegał się o jej rękę. Zrobiłam obrót w lewo i zgrabnie dygnęłam, wyciągając dłoń, by Jej to zasugerować. A ona na to:

— Wiesz, że chciano mnie porwać? Kilka dni po pogrzebie wyprawiałam się - sama niestety, bo służa ciężko zachorowała, do kościoła w Proszowicach. Miałam tam zamówioną Mszę. Nie sądziłam, że ktoś odważy się podnieść rękę na bezbronną niewiastę. A jednak!

— Chyba żartujesz?! - historia wydała mi się nieprawdopodobną; usiadłyśmy na pobliskiej ławeczce omiecionej ze śniegu, a bohaterka zdarzenia kontynuowała:

— Za węglem świątyni przyczaili się pacholki, których najął Krzysztof, pan sąsiedniej wioski. Kiedy, jako ostania wychodziłam z nabożeństwa, przyskoczyli do mnie, ofiarując się, że będą mi towarzyszyć do mojej posiadłości. Zgodziłam się, gdyż zaczynało się już ściemniać, tak jak teraz. Prędko jednak pożałowałam tej decyzji, wobec usilnych namów z ich strony, abym poślubiła owego szlachcica. Ja, nie mając jeszcze rozeznania co do dalszej

drogi życia i nie chcąc podejmować pochopnych decyzji, byłam nieugięta. Wtedy jeden z nich wskoczył do moich sań, zmieniając kierunek jazdy.

— Szalenciec! ... wyksztusiłam, głęboko poruszona.

Ponieważ mróz tężał, postanowiłyśmy przejść się gościńcem. Zofia zawsze mówiła tylko prawdę, niczego nie ubarwiała, jak to zwykle czynią kobiety, lubujące się w plotkach.

— I tak znalazłam się u pana Krzysztofa. — ciągnęła swą opowieść — Ten na szczęście okazał więcej rozsądku. Widząc, że nic nie wskóra, odwiózł mnie do Budziszowic i oddał ojcu. Przestrzegł jeszcze rodzinę, by mnie pilnowali, bom smaczny kąsek...

— A potem co się stało? Mam wrażenie, że trzymasz coś w sekrecie.

Moja nieprzewidywalna, kuzynka spoważniała nieco i wyznała:

— Powrót do rodzinnego domu nastęrczył mi wielu duchowych udręk. Skoro pogardziłam mężczyzną, co mam ze sobą zrobić? Klasztor? W żadnym ze znanych mi dotychczas, nie widziałam miejsca dla siebie. Nie mów tego nikomu, ale znalazłszy się w swojej dawnej izbie, rzuciłam się na łóżko i zaczęłam szlochać. Na usta cisnęły się tylko słowa prostej modlitwy; to jedyne, co mi zostało - nadzieja.

Dwudziestodwuletnia wdowa znów lekko się uśmiechnęła i ciągnęła dalej:

— I właśnie wtedy przypomniałam sobie ubogą sierotę, którą kiedyś mijaliśmy w drodze do Krakowa, żaloszny widok!...Zaświtała mi więc nagle w głowie myśl, że takie istoty potrzebują kogoś bliskiego, wymagają pomocy, że jest ich przecież wiele! To było tak, jakby mi „Ktoś” pokazał palcem. Wielki Ktoś! Jeśli On ma taki plan, to czy ja mogę odmówić? ...

Po bładym policzku Zofii płynęły łzy. Ale widziałam, że były to łzy radości.

Anna Fleszar

(uczennica LO im. Jana Pawła II, Sióstr Prezentek w Rzeszowie)

## ***W ręce Twoje ...***

(opowiadanie)

Zofia leżała na twardym tapczanie i w zadumie spoglądała w sufit. W rękę - powolutku, paciorek po paciorku - przesuwała różany wianek, z którym ani na moment nie rozstawała się od

wielu lat, i który bardzo rzadko leżał bezużyteczny w sakiewce. Usta kobiety szeptały słowa modlitwy, a w oczach widać było, że jej dusza patrzy właśnie w Oblicze Pana.

Pokój, w którym się znajdowała, był położony naprzeciw kaplicy. Okna, przysłonięte ciemnymi zasłonami, ledwo wpuszczały do pomieszczenia nieliczne, jasne, lekkie promyki słońca. Pomieszczenie było małe, lecz dostatecznie przestrzenne dla jednej osoby. Jego centrum stanowiła mała dębowa szafka, na której stał duży Krucyfiks. Był on nieraz jedynym świadkiem gorzkich łez, stanowił centrum nie tylko pokoiku, ale przede wszystkim życia nabożnej wdowy, która jedyną nadzieję i pomoc upatrywała właśnie w tym znaku - szczególnie przez nią umiłowanym. Zza lekko uchylonych drzwi słychać było śpiew i modlitwy, zapewne w intencji powrotu do zdrowia Dobrodziejki.

Mimo iż przez większość dnia Zofia leżała sama w mrocznym pokoju, nie czuła się ani przez chwile opuszczona, Myślni była ze swoimi ukochanymi uczennicami, dla których poświęciła samą siebie, swoją młodość i cały majątek. Modliła się za swoje nauczycielki, które z pasją, oddaniem i bezinteresowną miłością, zajmowały się młodymi dziewczętami, nieraz sierotami, pozbawionymi wszelkich środków do życia.

Ten dom był jej największym życiowym dziełem. „Dom Paniński Ofiarowania Najświętszej Maryi Panny” był najpełniejszym uwielbieniem Chrystusa, ukrytego w biednych i cierpiących, którego dostrzegła w ich twarzach.

Absolutnie nikt, kto znał niegdyś młodą, piękną szlachciankę, nie domyślał się nawet, że jest ona gotowa na tak wielkie poświęcenie. Od najmłodszych lat otaczana była zbytkiem i luksusem. (Twarz leżącej nagle rozjaśnił niespodziewany uśmiech. Powróciła myślami do lat dzieciństwa, spędzonego w pobliżu pięknej Wiślicy.) Znów była we dworku swoich rodziców... Jako pięcioletni berbec, uwielbiała chodzić, wraz ze starą opiekunką na spacerzy na wzgórze, z którego podziwiała cudną panoramę starej wsi. Zawsze największą uwagę zwracała na drewniany niewielki kościółek, spełniający najważniejszą rolę dla tej okolicy.

Dzień, który okazał się przełomem w życiu młodej dziewczyny, był dniem jej trzynastych urodzin. Rodzice wyprawili wielkie przyjęcie dla solenizantki. Gdy przybyli goście, wszyscy udali się do kościoła na - specjalnie zamówioną na tę uroczystość, Mszę Świętą. Po skończonym nabożeństwie, powozami wracali do dworu w Maciejowicach.

W czasie tej przejażdżki, młoda Zofia dostrzegła idącą dziewczynę, ubraną w potargane łachmany i niosącą na plecach mały tobolek. Mimo nędznej postury, kobieta trzymało głowę

podniesioną wysoko. Na rozkaz ojca, powóz zatrzymał się tuż obok idącej. Maciejowski wcisnął talara do ręki córce i delikatnym ruchem głowy, nakazał wręczyć go biedaczce. Gdy młoda Zofia pochyliła się nad rówieśniczką i podała jej jałmużnę, ta uśmiechnęła się delikatnie i nieco speszona, przyjęła ofiarowaną pomoc. Zofia chciała zagadnąć, ale matka pociągnęła córkę do środka. Powozy ruszyły, zostawiając zaskoczoną dziewczynę przy drodze.

Zdarzenie to na tyle utkwilo w głowie młodej szlachcianki, że przez całe przyjęcie siedziała jakaś zadumana. Próbowwała dowiedzieć się od służby, kim była owa dziewczyna, spotkana wtedy na drodze. Miała coś niepokojącego w oczach, co nie pozwalało Zofii przejść do porządku dziennego. „To córka młynarza. Ojciec jest bardzo biedny, a dziewczęciu ubzdurzała się nauka. Chce uczyć się czytać, dlatego poszła na służbę do miasta. Nie ma jednak żadnych szans, ta prostaczka!” - stwierdziła poczciwa opiekunka panienki. Zofia jednak bardzo żałowała dziewczyny. Sama dobrze wiedziała, jak ważna jest nauka. Ona, córka bogatego szlachcica, miała możliwość zdobycia wykształcenia. Ojciec wysłał ją przecież do klasztoru, aby tam mogła się uczyć. I teraz oto, po raz pierwszy, poczuła szczerą pragnienie podzielenia się swoją wiedzą z córką młynarza.

Niestety, nie mogła jednak w pełni zrealizować swego marzenia. Ojciec nakazał jej wyjść za mąż za Jana Czeskiego. Sama nie czuła się jeszcze gotowa na tak wielki życiowy krok. Nie mogła jednak sprzeciwić się woli ojca. Idąc do ołtarza, miała w sercu strach i niepokój. Postanowiła więc zaufać Bogu i w Jego rękach zostawić swoje małżeństwo.

Jan okazał się dobrym i czułym mężem. Serdecznie opiekował się małżonką, a ona z zapałem pomagała mu w codziennych obowiązkach. Prawdziwą siłą czerpali z niedzielnego uczestnictwa we Mszy Świętej, w parafialnym kościółku. Z czasem przyzwyczaili się do siebie i szczęście oraz pokój zagościły w ich domu.

Mimo, iż teraz była zacną panią domu, współwłaścicielką bogatej wsi, w jej sercu nadal pozostało głębokie pragnienie pomagania innym, a szczególnie tym biednym i niesprawiedliwie potraktowanym przez los. Korzystając z zasobnej sakiewki męża, nieraz wspomagała potrzebujących. Sama niejednokrotnie odwiedzała swoje poddane, pomagając im zajmować się dziećmi, interesując się ich chorobami i kłopotami. Jan rozumiał potrzebę swojej żony, dlatego bez problemu udzielał pieniędzy na rozliczne potrzeby małych podopiecznych.

Zofia czuła się spełniona, mimo że do tej pory Bóg nie obdarzył jej małżeństwa tak bardzo upragnionym potomstwem. Rozpoznawała w każdej z tych chudych, dziecięcych twarzy

oblicze jej największego Przyjaciela - Chrystusa. Często, wracając do domu, była tak zmęczona, że z trudem mogła się rozebrać, ale było to zmęczenie, w którym widziała sens życia, czuła się potrzebna.

Te spokojnie płynące dni przerwała nagle ciężka choroba męża. Za nią przyszła równie niespodziewanie okrutna śmierć. Nie było już ratunku! Z dnia na dzień utraciła człowieka, którego pokochała, do którego się przyzwyczaiła, i który dawał jej ogromne poczucie bezpieczeństwa. Siedząc przy ciele zmarłego Jana, nie mogła pozbierać myśli, szukała w głowie jakiegoś powodu i przyczyny tego nieszczęścia. Zadawała sobie wciąż pytanie: Co przeoczyła? Dlaczego nie zauważyła niepokojących sygnałów? Chaos myśli narastał w jej głowie. Rodzina męża krzątała się wokół czynności związanych z pochówkiem, a ona nie wiedziała, co z sobą zrobić. Z przyzwyczajenia wyszła na dziedziniec dla zaczerpnięcia świeżego powietrza. Wówczas znienacka dopadł do niej folwarczny „maluch”. Dzieci nie były skrupowane osobą „pani ze dworu”. Bywała przecież u nich codziennie, co zresztą nie podobało się teściowej. Przytuliła więc mocno do siebie małego „brudaska” i postanowiła nie poddać się melancholii. Przecież czeka na nią wiele takich małych istot, dla których głód, brak wiedzy i pewności jutra jest jeszcze gorsze niż śmierć. Wstała z klęczek, wzięła za rękę dziecko i poszła w stronę wiejskiego kościoła.

Do dziś w oczach stają jej obrazy z tamtego pamiętnego dnia: „Widzi przez szyby swojego powozu znikające w oddali zabudowania, tak bliskie jej sercu. Żegna okolice, dla której tyle poświęciła. Nie potrafi powstrzymać łez, dlatego cieniutką strużką płyną jej po policzku. Strach i niepewność jutra mieszają się z nadzieją, że wybrała właściwą drogę, choć z pewnością nie najłatwiejszą”.

Wśród kilku drobiazgów z dawnego domu ma do dziś drewniany różaniec, który czuje i teraz - w ostatnim skurczu stygnących palców: Maryjo, przez ręce Twoje! ...

Do pokoju weszła młoda dziewczyna - przyniosła Matce napar z rumianku. Ale kiedy pochyliła się nad jej twarzą, zrozumiała, że to już daremne ...I że rumianek zakwitł właśnie dla ich drogiej Matki na niebiańskich łąkach.

Joanna Mendoń

(uczennica Liceum Ogólnokształcącego im. Jana Pawła II, Sióstr Prezentek)